

Pasja ich życia

Muszalskiego nie mogliśmy nigdzie znaleźć.

Rozejrzałem się bezzadnie wokół. Olbrzymie, kilkupiętrowe pudło nowej hali wypełnione było dwoma cielskami stowudziestekpiątek Korpusy maszyn w niczym nie przypominały swoich słabszych 50-megawatowych siostrzyc zainstalowanych od dawna w Koninńskiej Elektrowni. To już były całe fabryki energii elektrycznej, niczym statki oplecione pokładami, poprzecinane schodkami i drabinkami. Ciężkie pokrywę gesto nitowane, grube rury, pokręta, potężne bloki urządzeń o trudnym do odgadnięcia zastosowaniu — wszystko to złożone było w jedną całość, pełną zakamarków.

Gdzie go szukać? Chyba na tej pierwszej turbinie? Tutaj teraz front robót. Po próbnym rozruchu rozebrano ją, by usunąć usterki. Teraz jeden drugiego goni z robotą. W Dzień Energetyka turbina musi być w eksploatacji...

— Muszalski? Gdzieżby miał być? W nastawni, grzebnie przy aparaturze — wskazał ktoś, ślad nieuchwytnego technika.

Nastawnia mieści się „na pięterku”. W połowie wysokiej ściany przylegiony do niej balkon blizszy oszklonymi oknami. Tam właśnie mieści się nastawnia blokowa całego zespołu — mostek kapitański studwudziestekpiątek. Widać, że i plastik miał swój udział w budowie tego oddziału elektrowni, bo linoleum mile barwi wnętrza, wspólgając z kolorystyką urządzeń, i mozaikę wzdłuż ścian całkiem przyjemną... Na środku nastawni zainstalowany długi pulpit, pełen tarcz, wyłączników i lampek. Ale Muszalskiego nie ma...

Wyszedł nagle, jak duch — z wnętrza szafy, oblepionej zegarami.

Młody, 25-letni chłopak o blond włosach, wysokim czole i inteligentnej twarzy. Stary wyga wśród koninńskiej załogi. Członek pierwszej Brygady Pracy Socjalistycznej w polskiej energetyce, sekretarz grupy działająca ZMS i zarazem elektrotechnik aparatury pomiarowej Elektrowni. Jednym słowem — Ryszard Muszalski.

Na początek opowiada, jak zaczął przy tej maszynie. Najpierw padło hasło. Akcji-250. Znaczący, załoga elektrowni postanowiła przyspieszyć oddanie do ruchu pierwszych 125 megawatów. Termin zależał nie tylko od dostawców, turbiny mogły pracować wcześniej, gdyby przyspieszyć montaż. Apeli poszedł w świat, ruszyła robota w organizacjach partyjnych. Załoga postanowiła skrócić czas rozruchu przez równoczesny montaż i odbiór, kontrolę wykonania podzespołów. Więc i Muszalski nie czekał, aż monterzy zejść z maszyny, tylko na bieżąco kontrolował ich robotę w aparaturze pomiarowej. Musieli się wszyscy spieszyć, bo angielski dostawca aparatury nie odpowiadał na apel.

Do elektrowni przybył jako jeden z pierwszych wśród technicznej personelu. W 1957 roku z nakazem pracy w kieszeni, po poznańskim Technikum. Skakał z kolegami przez brudny, wkopy fundamentów, po wydziałach, bo jego laboratorium było jeszcze w planach budowy. Przecież jeden z pierwszych — on młody chłopak po Technikum — od początku montował turbiny, a teraz to już jego siódma z kolei...

Do elektrowni przybył jako jeden z pierwszych wśród technicznej personelu. W 1957 roku z nakazem pracy w kieszeni, po poznańskim Technikum. Skakał z kolegami przez brudny, wkopy fundamentów, po wydziałach, bo jego laboratorium było jeszcze w planach budowy. Przecież jeden z pierwszych — on młody chłopak po Technikum — od początku montował turbiny, a teraz to już jego siódma z kolei...

Na szczęście nie znalazł ich w aparaturze. Gorzej poszło innym na samej maszynie. Przepadł i drugi termin rozruchu pierwszej 125-ki. Teraz jednak pójdzie lepiej. Już po próbnym rozruchu i badaniach, turbina ruszy lada godzina.

Więc chyba teraz będzie można wreszcie odetchnąć? Wrócić do domu, pamiętać o żonie, pójść do kina?

Mowy nie ma! Jeszcze nie raz przyjdzie pracować i po czterdziestej godzinie. Nie udało się z pierwszą 125-ką, trzeba dać radę drugiej maszynie. Rozruch pierwszej opóźnił się o cztery miesiące, opóźnienie na drugiej trzeba skrócić do połowy. Konin musi dać nowe 250 MW do końca roku! W zimie kolej na rozruch następnej, ostatniej już turbiny 28 MW. A przecież Muszalski ma jeszcze swoją normalną pracę, w laboratorium aparatury pomiarowej. Tutaj człowiek nigdy nie wie kiedy wróci do domu. Przez całą zmianę ostry dyżur, zdolność do natychmiastowego usunięcia awarii...

Znamienne — o swej normalnej pracy „etatowej” mówi na końcu. Najlepszy dowód, jak dalece absorbuje załogę „Konina” rozruch kolejnych turbin. A przecież to nie nowość dla Muszalskiego, i wielu innych.

Do elektrowni przybył jako jeden z pierwszych wśród technicznej personelu. W 1957 roku z nakazem pracy w kieszeni, po poznańskim Technikum. Skakał z kolegami przez brudny, wkopy fundamentów, po wydziałach, bo jego laboratorium było jeszcze w planach budowy. Przecież jeden z pierwszych — on młody chłopak po Technikum — od początku montował turbiny, a teraz to już jego siódma z kolei...

Powód tej pasji zdradziły mi jego późniejsze słowa. Elektrownia, to nie fabryka — powiedział — nigdy

Ata
tygodnia
POGLĄDY
POLEMIKI
POSTULATY
DODATEK GŁOSU WIELKOPOLSKIEGO
Nr 98 Poznań, 1. IX. 1963 Rok III

nie wiadomo co będzie robił za chwilę. Zwłaszcza w moim fachu, przy aparaturze. Stale jest coś nowego, uczysz się mimo woli. Ja na przykład mam tutaj i tranzystory, i zespoły drukowane... Montuję urządzenia, które rok temu jako wielką nowość oglądałem na Targach Poznańskich.

Czy bezpieczny to zawód?

Uśmiecha się w stronę Janusza Gehrke. To kolega z Brygady Pracy Socjalistycznej, z ławy szkolnej, z ZMS i zarazem inżynier do spraw bhp, który właśnie prowadzi nas po „trasie premierów”, czyli licznych wycieczek. Uśmiecha się i zaprzecza, ale opowiada swoje wydarzenia.

Podczas dyżuru wzywa go nagle palacz dozorujący pracę kotła. Zamknął się zawór wody zasilającej kocioł. Starczy jej na osiem minut. A potem... Potem sto kilkadziesiąt atmosfer sprężonej pary o tempe-

Dokończenie na str. 2

ZBIGNIEW SZUMOWSKI

Groby na dziedzińcu

Podworska wioska Hertefeld liczy sobie 120 mieszkańców. Można ją więc znaleźć jedynie na bardzo szczegółowych mapach północnozachodnich okolic Berlina. Wątpię też, czy pamiętają jej nazwę nawet ci spośród dziesiątków tysięcy polskich uczestników bitwy o Berlin, którzy w dniach od 24 do 30 kwietnia toczyli w jej sąsiedztwie zaciete walki.

Teren tu niezmiernie trudny dla prowadzenia natarcia — podmokłe łąki i bagna poprzecinane gęstą siecią rowów i kanałów odwadniających ciągną się aż po Hawelę i spławny kanał Rhin. I właśnie na południowym krańcu tych mokradeł, przez które przyszło szturmować na zachód żołnierzom 1 Armii Wojska Polskiego, leży Hertefeld. Pół kilometra na południowy wschód od niej biegnie szosa w kierunku Poczdamu.

Nia to właśnie pod wieczór 24 kwietnia 1945 roku szarżowały po zdobyciu Wzgórz Żelazskich pancerne jednostki radzieckie, oskrzydłające od północy bronią jeszcze przez hitlerowców stolicę Trzeciej Rzeszy. Ponieważ jednak zadanie tego zagonu polegało na jak najszybszym połączeniu się w Poczdamie z siłami oskrzydłującymi jednocześnie



Hertefeld 1963 r.

Fot. — Ernst - Ludwig Bach

nie Berlin od południa (stało się to zresztą już następnego dnia), nie tracono ani czasu ani sił na trwałe opasowanie Hertefeld. Tyle tylko, że jak zwykle w takich przypadkach, kilka czołgów wydzieliło się z pędzącej nadal kolumny i — zatrzymawszy się u skraju szosy — zaczęło ostrzeliwać przypuszczalny punkt oporu nieprzyjaciela.

Już jednak po pierwszej salwie, nad dachem najbliższego szosie czworaka wionęła biała chusta. Jak by tylko czekając na ten sygnał, kilkunastu volksszturmistów tkwiących w rowach okrążających zabudowania porzuciło swe pancerfausty i zaczęło uciekać ku bagnetom. Czołgi nie oddały już ani jednego strzału. Dołączyły do kolumny i odjechały na zachód.

Co prawda, nie wiadomo dokładnie, czyje ręce wywiesiły białą chustę, która w przekonaniu mieszkańców uratowała Hertefeld od bezsensownego zniszczenia jeszcze w ostatnich dniach wojny. W każdym razie nie uczynił tego nikt spośród stałych mieszkańców wsi. Po prostu bali się represji „wobec wszystkich żyjących bez względu na wiek”, jakimi groził jeszcze poprzedniego dnia dowódca stacjonującego w pobliskim Bergerdamm plutonu SS, o ile i oni okażą się „w dniach najważniejszej próby zdrajcami Fuehrera”, ulegną „defetystycznym nastrojom” i nie przejawia „stanowczej woli walki aż do zwycięskiego końca”.

Musiał to uczynić ktoś z Polaków, którzy zawleczeni tu do przymusowej pracy wraz z rodzinami, zamieszkiwali w kilkadziesiąt osób ów najbliższy szosie czworak. Być może najbardziej przedsiębiorczy i hardy spośród nich Kazimierz Stefanik (Stefaniak?). W każdym razie zanim jeszcze warkot kolumny czołgów rozpylnił się w pomrukach toczącej wokół bitwy, właśnie Stefanik umocnił na dachu improwizowaną białą flagę i zaraz potem pouszkadzał przy pomocy innych Polaków porzucone pancerfausty rozbijając tym samym niedoszły „punkt oporu Hertefeld”.

Akurat miano w czworaku zasiedać do pierwszej „powojennej” wieczery, kiedy od strony Bergerdamm nadpełznął trójosobowy patrol. SS-mani trzymając w pogotówiu pistolety maszynowe i zachowując wszelkie środki ostrożności speketrowali dokładnie wszystkie kąty dziedzińca. Nie zauważywszy nic podejrzanego oraz zachęeni ciszą panującą na szosie, wyszli na środek dziedzińca. I wówczas właśnie jeden z nich, długonogi podoficer w okularach dostrzegł białą flagę. Wydałszy krótką komendę wbiegł wraz z jednym żołnierzem do czworaków. Wrzeszcząc i rozdając jak popadło razy, zaczęli wypędzać wszystkich mieszkańców. Trzeci kierował ich wymownym gestem pistoletu w kąt tworzący przez budynek i płot. W ciągu niewiele minut spędzono wszystkich Polaków. Potem również zaczęto wywiekać z kryjówek Niemców. Z nimi też się nie cackano. Podoficer stanął przed tłumem.

— Kto ośmielił się wywiesić tę białą flagę?

Ludzie stłoczyli się jeszcze bardziej. Nikt jednak nie powiedział ani słowa. Słychać było tylko płacz dzieci i coraz bliższe gromy bitwy. Podoficer zaperzył się.

— No, ostatni raz pytam się was: Kto wywiesił tę białą szmatę? Nie chcecie powiedzieć? Dobrze, rozwalimy więc całą tę hołotę. Co do jednego.

Teraz wypadki potoczyły się w zawrotnym tempie. Z ciżby wystąpił niespodziewanie rośli mężczyzna i podszedł do SS-manna. Zaledwie jednak zdążył wypowiedzieć trzy polskie słowa, podoficer pchnął go pod płot i strzelił raz i drugi. Po czym pokazawszy swym podkomendnym coś na szosie, odbiegł z nimi w kierunku Bergerdamm.

W przeraźliwy szloch pięcioletniej dziewczynki, która przypadła do zwłok ojca wmięszal się łoskot pędzącej szosą kolumny czołgów.

Zanim zapadły ciemności odbył się pogrzeb Stefanika. Grób wykopano pośpiesznie w miejscu dokonania morderstwa. Potem zaś wszyscy mieszkańcy Hertefeld, bez względu na narodowość opuścili domy i spędzili noc pod czerwonym odłun niebem. Przejorność okazała się celowa. SS-mani wrócili i rano, kiedy znowu wycofali się w stronę Bergerdamm, znaleźli zwłoki jeszcze jednego Polaka, który widocznie ukrył się zbyt blisko zabudowań. (W Hertefeld mówią o nim „Franz Kowiak”, sądzą jednak, że nazywał się po prostu Frackowiak).

To była już na szczęście ostatnia ofiara, jako że wkrótce i ta miejscowość została zajęta przez nacierających od zachodu żołnierzy polskich (prawdopodobnie 6 dywizji piechoty).

Wkrótce wszyscy pozostali przy życiu Polacy wrócili do kraju. Ale choć minęło już kilkanaście lat, po dziś dzień żywa pozostała w Hertefeld pamięć tych dramatycznych godzin. Zaś Kazimierza Stefanika niemiecka ludność traktuje jako miejscowego bohatera. W ich przekonaniu on właśnie i uratował wieś przed zniszczeniem i ofiarą swego życia zapobiegł dokonaniu jeszcze jednej masowej masakry na spędzonych w ów norażnik Polakach i Niemcach.

Widocznym dowodem tej pamięci są zresztą dwa groby nadal jeszcze znajdujące się na podworskim dziedzińcu. Otoczone najtroskliwszą opieką mieszkańców, zwłaszcza najmłodszych. Co roku uczniowie szkoły Hertefeld — Bergerdamm poświęcają swoje zarobki uzyskiwane przy wykopkach ziemniaków właśnie na pielęgnowanie tych grobów. Od ubiegłego zaś roku zbierają dodatkowe fundusze, by można było uroczystie przenieść obie mogiły „na prawdziwy cmentarz”. Chcą, by nastąpiło to w przyszłym roku — dnia 1 września, obchodzonego tradycyjnie w Niemieckiej Republice Demokratycznej jako dzień walki z faszyzmem.

„Dążyłem do zapewnienia Polsce potężnego alianta, do stworzenia takich warunków, by państwo nasze walczyć mogło w ramach potężnej koalicji” — dumnie oświadczał w grudniu 1939 r. Józef Beck, już wówczas eksminister spraw zagranicznych. Tym potężnym aliantem była Francja i Anglia, złączone z Polską sojuszami politycznymi i wojskowymi. O aliansie z potężnymi sąsiadami, który mógł przynieść z rzeczywistą pomocą, i do czego skłaniali Polskę zachodni sojusznicy — Związkiem Radzieckim — przedwrześniowi władcy w ogóle nie chcieli słyszeć. Byliśmy „silni, zwaśni i gotowi”. Mieliliśmy przyobiecane pomoc. A w rezultacie...

Zwróćmy się do pamiętników polityków zachodnich: Ambasador Leon Noël notuje: „Poczynając od pierwszych chwil agresji niemieckiej, Polska apelowała do swych sojuszników o dotrzymanie ich zobowiązań pomocy, a zwłaszcza o bezwzględne interweniowanie ich lotnictwa w walce... Rządy francuski i brytyjski nie były jeszcze do tego dojrzałe. Nie brały jeszcze pod uwagę natychmiastowej interwencji militarnej... Ciężkie były dla sir Howard Kennarda i dla mnie godziny, które upływały między momentem, w którym 1 września z rana po raz pierwszy zagraly syreny warszawskie, a chwilą, gdy trzy dni później oficjalnie ogłoszono przystąpienie Francji i Wielkiej Brytanii do wojny u boku Polski. Stale i ze wszystkich stron dochodziły do nas wezwania rządu polskiego i naszych polskich przyjaciół.”

Georges Bennet, ówczesny minister spraw zagranicznych Francji, parując pretensje polskiego rządu, zauważa:

„Beck nie może mieć nam nic do zarzucenia. Sądzę, że powinien dziś ocenić niestosowność, którą popełnił w styczniu tego roku, gdy wyjechał z Francji dla zobaczenia się z Hitlerem w Berchtesgaden bez zatrzymania się w Paryżu... Na początku września 1938 r. w rozmowie z Łukasiewiczem, który w imieniu swego kraju odmówił wtedy wystąpienia przy naszym boku dla ochrony Czechosłowacji, powiedziałem: „Za rok będzie na was kolej, za Gdańsk i Korytarz”. Zbyt łatwo było to przewidzieć...”

Do Warszawy przybywa gen. Armengaud, szef wojskowej misji lotniczej w Polsce, 3 września o godz. 9 rano spotkał się z marsz. Rydzem-Śmigłym, ministrem spraw wojskowych, Kasprzyskim i szefem sztabu, Stachiewiczem.

Wrzesień i pomoc Zachodu

„Ci trzej ludzie — wspomina — byli skonsternowani wobec świadomości powagi wypadków i swej niemożności wpłynięcia na zmianę ich toku. Swe nadzieje pokładali we Francji...”

Paul Reynaud, czołowy wówczas polityk francuski pisze, że naczelny wódz armii francuskiej, gen. Gamelin: „...tłumaczył, dlaczego atak na Niemcy jest znacznie łatwiejszy z Belgii niż z Francji. „To tylko ta droga mogłabyśmy przynieść Polsce pomoc potężną, na pewno wydatną i stosunkowo szybką”. Czy przejście przez Belgię było niezbędne dla zaatakowania armii niemieckiej? Marszałek Keitel nie jest tego zdania. Powiedział on na procesie norymberskim: „Byliśmy bardzo zdziwieni widząc, że Francja nie zaatakowała Niemiec podczas kampanii polskiej. Atak taki natknąłby się tylko na 25 dywizji, licząc w tym rezerwy i spotkałby się z naszej strony z bardzo słabym oporem. Ku naszemu ogromnemu zdziwieniu, na całym odcinku między linią Maginota a linią Zygfryda, odbyły się tylko drobne potyczki. Nie rozumieliśmy, dlaczego Francja nie korzysta z tej, jedynej okazji. Potwierdzało to nasz pogląd, że mocarstwa zachodnie nie chcą wojny z nami...”

Ambasador Noël wspomina: „Znajdując się w skrajnym niebezpieczeństwie, Polacy ponawiali swe apele pod adresem sojuszników. W dniu 12 września rząd polski zwrócił się raz jeszcze do Wielkiej Brytanii... Było jasne, że jeżeli armie sprzymierzone nie rozpoczną w najbliższym czasie działań ofensywnych na Zachodzie — front wschodni przestanie istnieć...”

Może najpełniej ujął sprawę „pomocy” Zachodu dla Polski w dniach wrześniowych Winston Churchill: „Po zakończeniu mobilizacji, armie obu krajów stanęły bezczynnie naprzeciwko siebie wzdłuż granicy. Nie było również ataków powietrznych na Wielką Brytanię, jak i na Francję... Rząd francuski prosił nas o takie same postępowanie w stosunku do Niemiec, aby uniknąć represyjnych bombardowań... Ograniczyliśmy się więc do rzucania ulotek, które miały na celu moralne oddziaływanie na Niemców... Francja i Wielka Brytania pozostawały bezczynne podczas, gdy niemiecka machina wojenna miażdżyła Polskę całym swym ciężarem i uderzała ją. Hitler nie miał naprawdę powodów do niezadowolenia.

Naturalnie, postawić można pytanie: „Dlaczego czekali biernie, aż Polska zostanie rozbita?”. W rzeczywistości bitwa była przegrana już przed paru laty. W 1938 r. były poważne szanse na zwycięstwo w czasie, kiedy Czechosłowacja istniała jeszcze.”

Wybrał i opracował: JERZY ZAJĄCZKOWSKI

Obrońca Westerplatte opowiada

Sekretarzem Prezydium Gromadzkiej Rady Narodowej w Połajewie, pow. Czarnków, jest odznaczony Krzyżem Walecznych i Krzyżem Grunwaldu Franciszek Magdziarz. Będąc zawodowym podoficerem, z dniem 1 września 1935 roku Magdziarz przeniesiony został służbowo z 61 pułku piechoty w Bydgoszcz do Wojskowej Składowicy Transytowej na Westerplatte. Pełnił tam obowiązki wartownicze i objął dowództwo nad obroną przeciwpożarową.

Nieproszona wizyta

Franciszek Magdziarz wspomina, jak to poprzez wody zatoki gdańskiej podjechał na farwater kanału wejściowego „Schleswig-Holstein”. — „Bestia” miała 13.600 ton wyporności, a działa ciężkiego i najcięższego kalibru. Cztery potworne lufy, jak kominy fabryczne, miały po 280 milimetrów średnicy. Nasze zdumienie i oburzenie nie miało granic, gdy z całym spokojem holowniki przesunęły się do lózka. Zbudził go ogłuszający huk. To nieproszony gość dał znać o sobie; rozpoczęła się druga wojna światowa.

Pierwszy chrzest bojowy

W przeddzień 1 września plutonowy Magdziarz pełnił służbę wartowniczą. Po dniu napięcia i oczekiwań położył się do łóżka. Zbudził go ogłuszający huk. To nieproszony gość dał znać o sobie; rozpoczęła się druga wojna światowa.

W mgnieniu oka wszyscy byli na nogach. Od celnych strzałów załogi niemieckich kul Magdziarz wraz z 4 żołnierzami dobiegł na stanowisko bojowe z którego porucznik Pajak prął po krzakach jedną serię za drugą. Amunicja została dostarczona na pierwszą linię. Wkoło nich drżała ziemia od ciężkich pocisków. Było już kilku rannych.

W chwili, kiedy porucznik Pajak składał telefonicznie majorowi Su-

W 24 rocznicę

charskiemu meldunek o groźnej sytuacji, został ciężko ranny. Nogi w kałuży krwi, poszarpany brzuch. Chorażemu Gryczmanowi polecił: — Zostań tu... odesłaj mnie.

Kiedy choraży Gryczman objął dowództwo odcinka Magdziarz wraz ze strzelcem Stopińskim ostrożnie nieśli porucznika. Rękami powstrzymywał rozwalony brzuch. Najtrudniejszy był ostatni odcinek drogi. Pod silnym ostrzałem przebiegli wolno, niczym nie osłonięty przetrzeźnił kilkadziesiąt kroków. Odetchnęli dopiero, kiedy oddali rannego w ręce dr. Siabego.

O krok od śmierci

2 września Magdziarz objął stanowisko przy karabinie maszynowym na torze kolejowym. Znowu zaczęli atakować Niemcy. Zagrały karabiny maszynowe w sprawnych rękach wprawnych strzelców. Serie kładły całe szeregi nieprzyjaciela. Wszystkie natarcia zostały odparte. Także załogi bunkrów nie przepuściły ani jednego Niemca poza linią ostrzału karabinów maszynowych.

Po kolejnym natarciu nastąpiła długo oczekiwana cisza. Żołnierze z obsługi karabinu maszynowego udali się na obiad. Kiedy powrócili, z kolei Magdziarz poszedł na obiad do wartowni nr 5.

Po chwili jednak nad Westerplatte zawyły obiednie nurkujące Stukasy, huragany ognia. Ich bomby waliły bez przerwy w każdy skrawek półwyspu. Huk, dudnienie, łoskot i grzmot bezustanny skoncentrowanych sił ognia i żelaza, drżenie ziemi, nie ustawały ani na chwilę.

— To już pewna śmierć, pomyślałem sobie — mówi Magdziarz. — W czasie tego piekła przebywałem w wartowni nr 5. Wartownia dostała dwie pewne bomby. Jedna wałęsała od przodu schronu, zawałiła strop, druga wgniotła dach i ścianę od tyłu, od strony kasyna. W tym momencie straciłem na chwilę przytomność. Zostałem czymś silnie uderzony. Pierwsza myśl, jaka zaświtała po przebudzeniu: jestem zasy-

pany. Patrzę w górę i widzę światło. Ostatnim wprost wysiłkiem wydostałem się spod gruzów.

Byłem zasypany kurzem, w podartych, pokrwawionych spodniach i koszuli. Spojrzałem na dłoń — była zmiażdżona.

Magdziarz pokazuje dłoń, w której brak dwóch palców. — Wówczas brudną szmatą owinałem rękę. Wyłaź też strzelec Aniołka. Był zupełnie nieprzytomny. Bełkotał coś bez związku. Złożyłem meldunek majorowi Sucharskiemu.

— Czy ktoś jeszcze prócz was żyje? — zapytał. — Może i żyje, ktoś jeszcze jęczał i wzywał pomocy, ale kto, nie wiem — powiedziałem i dodałem — kapral Szambleski sam się wygrzebał. Chcieliśmy kolegów ratować, ale sami nie mogliśmy dźwignąć ściany żelbetowej. Na usprawiedliwienie pokazałem zmiażdżoną dłoń.

Jak się później dowiedziałem — spod gruzów wydobyto jeszcze kilku rannych. Wartownia stała się mogiłą dla plutonowego Adolfa Petzela, starszego strzelca Zatorskiego, Okraszewskiego, kaprala Peruckiego.

„Bandyci“?

— Pomimo zmiażdżonej ręki nie ustępowałem z posterunku — opowiada Magdziarz. — Przez cały czas zajmowałem się zaopatrzeniem obrońców w żywność i wodę. A z tym było coraz gorzej. W końcu woda była zakurzona i ciepła. Nawet chorzy otrzymywali do jedzenia jedynie konserwy mięsne i twarde suchary. Żołnierze nie spali praktycznie przez 200 godzin, przez cały czas nie jedli nic gorącego. Brak było nawet najprostszych leków.

Załoga dzielnie walczyła do ostatniej chwili. Czekaliśmy na pomoc, zawiedliśmy się. Wierzyliśmy jednak w zwycięstwo Polski. Walczyliśmy przeciwko hitlerowskiej żądzy panowania i w tym był chyba wystarczający sens walki.

O jednej rzeczy pragnę jeszcze wspomnieć. Po kapitulacji, wraz z innymi rannymi, sanitarką zostałem odwieziony do szpitala w Gdańsku. Tam właśnie spotkałem kilku rannych obrońców poczty gdańskiej.

Nie wiedzieliśmy bowiem w czasie walki, że w samym ośrodku zorganizowanego i uzbrojonego Gdańska, w tym morzu nienawiści, broń się na poczęcie garstka bohaterów. My byliśmy żołnierzami, ale tamci, to cywile. I iluż ich tam było?

Pamiętam, jak pewnego razu wyższy stopniem SS-mann odwiedził szpital. Chodził od łóżka do łóżka, pytał: — Skąd wy jesteście?

— Z Westerplatte — odpowiadałem. Skinął głową. Moim sąsiadem był asystent pocztowy.

— A wy skąd?

— Z poczty polskiej — nie bez dumy w głosie odrzekł ciężko ranny.

— Ty bandyto, ty „polska świni”. Po co ciebie leczyć, kiedy i tak zostaniesz rozstrzelany!

Kilka dni później, wczesnym rankiem wyprowadzili ich wszystkich na śmierć.

Notował JERZY NIEDZIELSKI

EUGENIUSZ PAUKSZTA

Przesyłka z Krakowa

Żywię wielki szacunek i sympatię do krakowskiego Wydawnictwa Literackiego, jako do oficyny, która wypracowała swój własny styl wydawniczy, wyraźny profil drukowanych książek, która, na dodatek, szczególnie silny nacisk kładzie na stronę edytorską. I oto znów po pewnej przerwie, spory stosik książek tego sympatycznego wydawnictwa.

Znaczną chybą od pozycji rzadkiej u nas w rzetelności, urodzie i głębi opracowania. Myślę o uroczym studium

Kazimierza Wyki „Makowski” świetnie, pięknym językiem skróconym portrecie twórczym i człowiekiem wybitnym malarza, który tak wiele zaważył na rozwoju polskiej sztuki. Wyka czuje Makowskiego, pamiętnik artysty jest tylko jakby uzupełnieniem doznań wybitnego krytyka, jak się okazuje, nie tylko w dziedzinie literatury. Na domiar trudno o piękniejszą edycję graficzną, słabsze reprodukcje, barwne i białe-czarne. Nakład wynosi zaledwie trzy tysiące...

Z dziedziny sztuki należy też odnotować nową serię reprodukcji Stanisława Wyspiańskiego, są to tym razem karykatury. Tym samym cykl „Twórczość plastyczna” Wyspiańskiego liczy już pięć pozycji. Dawno takim piętrem nikt nie obciążał spuścizny zarówno piśmienniczej (wydanie zbiorów) jak malarskiej autora „Wesela”.

Ze studiów nad literaturą mamy również dwie nowe książki. Jedną z nich, w opracowaniu Czesława Zgorzelskiego, to „Opowieść o powieści” Karola Wiktora Zawodzieńskiego, trafny wybór najcenniejszych szkiców krytycznych zmarłego pisarza, zwłaszcza tekstów dotyczących kręgu Kraszew-

skiego, jak i związanych z okresem dwudziestolecia. Myśl krytyczna Zawodzieńskiego rysuje się przez taki układ wyrażenia i ukazuje jego bezsporny wkład w dzieło analizy literatury polskiej. Drugą pozycją krytyczną, tyżącą już bezpośrednio naszej współczesności, jest nowy tom studiów i esejów Włodzimierza Maciąga „Opinie i wróżby”, omawiających polską prozę i usiłujących wskazać główne tendencje literatury polskiej w ostatnich latach. Wiele z esejów Maciąga na pewno jest dyskusyjnymi, wszystkie jednak trapią bardzo indywidualnym widzeniem zjawisk literackich, wprowadzają w sam gąszcz wielu sporów i polemik.

A teraz krakowska pozycja „spekjalna”, swoisty rarytas czytelniczy. Jest to druk rękopisu z r. 1789, ka-

rola Boscampla-La sopolskiego „Moje przełotne miłości z młodą Bitynką”.

Ową Bitynką zaś jest najpiękniejsza w owym czasie kobieta Europy, dawna ulicznica stambulska, a później żona i kochanica wielu wielmożów, kończąca swoje lata jako małżonka największego z magnatów polskich, Szczęsnego Potockiego, tego od Targowicy. Świetny szkic obyczajowy, pisany wcale dobrym językiem literackim.

W edycji nowel Piotra Chojnowskiego, tak bardzo bliskiego Poznaniowi, ukazał się tomik trzeci „Pokusa”, związany zarówno z przeżyciami młodzieńczymi, jak i z wydarzeniami politycznymi takimi jak powstanie styczniowe. Wniosek z lektury jest jeden: Chojnowski w uroku pewnej swej naiwności jest niepowtarzalny. Trochę tracąca mądrą, ale uroczą to lektura.

Kończąc ten przegląd nowości krakowskich, warto jeszcze wspomnieć, że ukazało się tam dawno oczekiwane wznowienie powieści Karola Bunscha „Olimpiad”, jedynej książki tego autora, sięgającej po temat antyczny, czasy Filipa Macedońskiego i Aleksandra Wielkiego. Osobiście stawiam tę książkę w dorobku Bunscha najwyżej, znacznie wyżej od popularnego cyklu powieści tzw. „piastowskich”.

Pasja ich życia

Dokończenie ze str. 1

raturze kilkuset stopni, dokona dzieła. Pomocnik palacza otworzył ręcznie zawór, a Muszalski usunął usterek. Pewnie, że był zdenerwowany, ale robotę znał przecie na pamięć...

Co na to żona? Przyszyczała się. Pracuje w przedszkolu, nie ma czasu na bałskie niepokoje. Teraz czieszy się na nowe mieszkanie. We wrześniu wyprowadzą się z osiedla awaryjnego przy Gosławicach, do Konina, na dwa pokoje. Nie, dzieci nie mają. W przyszłym roku, gdy skończy się rozruch, kiedy można będzie odetchnąć, będzie czas pomyśleć o studiach, o dzieciach...

☆

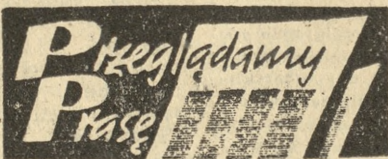
Czytelnikom winien jestem wyjaśnienie. Chciałem pisać o ludziach energetyki, napisałem o elektrowni, o maszynach. Może dlatego, że życie takich jak Muszalski — a wielu ich w Koninie — wypełnione jest dziś bez miary tworzeniem maszyn, które dopiero potem zaczynają służyć ludziom.

ZBILUT SĘK

Ze świata filmu



W nowelowym filmie francuskim reżyserii Jean François Hauduroy — „Pocałunki” główne role zagrają aktorki trzech narodowości: (Na zdjęciu od lewej) Amerykanka Helene Banks, Kanadyjka Diane Wilkinson i Irlandka Barbara Steele.



czy się, niestety, konkluzja: o znalezionym niewypale nie zawiadomiono w porę milicji lub jednostki saperskiej.

JAK DŁUGO JESZCZE!

W „Prawie i Życiu” zwraca uwagę artykuł Zenona Naumowicza pt. „Fikcja uderzenia po kieszeni”, poświęcony zagadnieniu zwalczania przestępczości wyrażającej szkody w mieniu społecznym. Chodzi tu zwłaszcza o wyroki w zakresie kar majątkowych i roszczeń odszkodowawczych. W razie szkód wyrządzonych przez pracownika przedsiębiorstwa lub innej instytucji...

„Prawie regułą jest niewnoszenie powództw cywilnych przez pokrzywdzone instytucje w sprawach wszczętych przez organa dochodzeniowe z urzędu, a nie na skutek doniesienia jednostek pokrzywdzonych”.

Autor kończy wnioskiem, że należałoby oczekiwać znacznego zwiększenia — w dziedzinie naprawienia szkody — inicjatywy pokrzywdzonych jednostek gospodarki społecznej.

KŁOPOTY Z TELEWIZORAMI

Tym razem chodzi o kłopoty związane ze zmniejszeniem zapotrzebowania na telewizory. Zjawisko dla konsumenta bardzo pożądane, dla producenta i handlu kłopotliwe. Zdolności produkcyjne przedsiębiorstw wytwarzających telewizory są wyższe od rzeczywistego zapotrzebowania. W bieżącym roku poważnemu ograniczeniu ulegają dostawy na rynek (tegoroczny plan — 385 tys. sztuk, tj. o 7 proc. więcej niż w roku 1962). Co prawda liczba abonentów telewizji szybko wzrasta: w 1957 r. — 22,1 tys., w

1960 r. — 425,9 tys., w końcu 1962 r. — 959,4 tys., w połowie 1963 r. — 1 200 tys. telewizorów. W drugim kwartale br. sprzedano tylko 70 proc. tego, co w II kwartale 1962 r., podobnie wygląda w III kwartale. Wszystkie te wiadomości zawarte są w artykule T. K. pt. „Koniec boomu na telewizory” w „Życiu Gospodarczym”. Autor konkluduje:

„Zdolność produkcyjna telewizorów przewyższa obecnie chłonność naszego rynku. Aby więc uniknąć gwałtownego narastania dużych zbędnych zapasów, warto już obecnie pomyśleć o uruchomieniu środków zmierzających do zwiększenia popytu na telewizory lub rozważyć obniżenie planu produkcji na IV kwartał br. i na cały rok 1964”.

I słusznie, bo im wcześniej zapadnie jakaś usprawniająca decyzja tym lepiej. Niedobre skutki zwleknięcia z decyzjami mieliśmy już na naszym rynku w takich np. artykułach jak rowery, radiodiodniki, motocykle, maszyny do szycia.

WRZESIEŃ 1939 W LITERATURZE

Ściślej: w prozie literackiej. Pisze o tym na łamach „Życia Literackiego” Jan Masłowski w artykule pt. „Wrzesień 1939 w prozie literackiej”. Artykuł ten jest w pewnym sensie próbą oceny, tego co na temat Września napisano. Przeciwny czytelnik zna co najwyżej kilkanaście tytułów na ten temat z „Dniami klęski” Żukrowskiego i „Wrześniem” Putramenta na czele. Tymczasem Masłowski wymienia kilkadziesiąt tytułów. I to najbardziej reprezentatywnych, służących mu za przykład do rozwijania interesujących tez.

„Najbardziej ubogo — stwierdza autor — reprezentowana jest dramaturgia; częściowo kampanii wrześniowej dotyczy sztuka „Zaczyna się dzień” Broszkiewicza i Gottesmana (prolog) oraz „Domek z kart” Zagadłowicza”.

Dalej pisze Masłowski: „Sam temat okazał się bardzo trudny — może z uwagi na odmienny typ wojny totalnej, może z powodu zbyt krótkiego dystansu czasowego”.

LEKTOR

STEFAN NOWAK